

Przed miesiącem opublikowałem pierwsze wspomnienia z książki *Wojna 1939-1945 we wspomnieniach mieszkańców Ostrowi Mazowieckiej i okolic*, wydanej w roku 2019 przez **Miejską Bibliotekę Publiczną im. Marii Dąbrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej**. Dzisiaj czas na kolejne z 58 zebranych i opracowanych przez **Jadwigę Sadowską i Alinę Wierzbicką**.

Autorką publikowanej poniżej relacji jest Władysława Waszczuk (1912-2000), która wraz z rodziną została wywieziona z Paproci Dużej na Syberię w czwartej wielkiej akcji deportacyjnej, do której doszło 20 czerwca 1941 r. czyli na dwa dni przed atakiem Niemiec na ZSRR.

Mam cichą nadzieję, że dla wielu osób będzie to inspiracja, do wysłuchania opowieści dziadków, rodziców, sąsiadów. Wcześniej czy później także one mogą stać się bezcennymi świadectwami przeszłości.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie to okładka wspomnianej książki, która jest znakiem rozpoznawczym dla pochodzących z niej tekstów.

Jerzy Madzelan

Z PAPROCI DUŻEJ NA SYBERIĘ

Wspomnienia Władysławy Waszczuk (1912-2000),
z domu Malec, z Paproci Dużej



Władysława Waszczuk

Mieszkaliśmy w Paproci Dużej (gmina Jasienica – obecnie gmina Szumowo), gdzie mieliśmy duże gospodarstwo. Po wejściu Rosjan 17 września 1939 roku na wschodnie tereny Polski, nasza wieś znalazła się po rosyjskiej stronie. Żyliśmy w stanie ciągłej niepewności o swój los, tym bardziej, że większość naszych sąsiadów Niemców w październiku 1939 roku wyjechała do Niemiec, a na ich miejsce napływali różni ludzie, wśród których nie brak było donosicieli. Z ulgą przyjmowaliśmy fakt, że trzy pierwsze fale deportacji nas szczęśliwie ominęły. Przetrwaliśmy pod tą okupacją prawie dwa lata, ale w nocy 20 czerwca 1941 roku przyszło po nas NKWD (sowiecka policja polityczna). Wyczytali nazwiska i imiona: moje i męża - Władysława Waszczuk (29 lat) i Jan Waszczuk (28 lat), teściów - Anna Waszczuk (60 lat) i Stanisław Waszczuk (68 lat), dzieci - Teresa Waszczuk (9 miesięcy) i Antoni Waszczuk (2 lata). Jeden był z rewolwerem, a kilku z karabinami. Ten z rewolwerem zwrócił się do mnie: „Zabierajcie się, tutaj nie będziecie już więcej mieszkać, dziś wyjedziecie na białe niedźwiedzie”. Nogi się przede mną ugięły i usiadłam na łóżku. Dali nam 45 minut na spakowanie się. Rozbudzone dzieci zaczęły płakać, a ja nadal bez sił siedziałam na łóżku. Wtedy ten oficer NKWD wrzasnął na mnie i powiedział, że zabiorą nas tak, jak jesteśmy, bez żadnych rzeczy, jeśli nie zaczniemy zbierać się do drogi. W ciągu tego krótkiego czasu udało się nam zabrać trochę żywności i ubrań. W głowie kołatały mi słowa „białe niedźwiedzie”, Sybir, więc zgarniałam do worków swetry, palta, pierzyny. Mąż zdołał uprosić ich, aby pozwolili mu zabrać ze strychu worek mąki, przy okazji teściowa wzięła dużo płótna lnianego, które schło na strychu, a później miało się nam tak bardzo przydać. Pozwolono

nam zabrać tylko tyle bagażu, ile zmieściło się na wóz tzw. żelaźniak. Zabraliśmy także małą maszynę do szycia z korbką. Załadowano nasze rzeczy i ja z dziećmi i teściową jechałyśmy na wozie, a mąż z ojcem szli pieszo. Tej nocy z Paproci Dużej zabrano jeszcze rodzinę Łapińskich, a z sąsiedniej wsi Ruskołęki – państwa Tylów i Wierzbów. Rano 21 czerwca 1941 roku dojechalśmy do stacji w Czyżewie. Zrzucano nasze bagaże i pojechano po następnych. Cały dzień zwożono z różnych miejscowości kolejne rodziny tak, że do południa cały peron był już zatłoczony. Przywieziono także moich byłych sąsiadów z Kalinowa Jadwigę i Jana Krupów z dwuletnią córeczką Haliną. Myśleliśmy z mężem o ucieczce, ale jak uciekać z dwójką małych dzieci i z teściami w podeszłym wieku. Cały dzień siedzieliśmy w upale na peronie, a wśród eskorty widać było coraz większą nerwowość.

Po południu podstawiono pociąg – kryte wagony kolejowe, do których ładowano po 40 osób, poganiano nas przy tym ciągle krzycząc bystreje, bystreje (szybciej, szybciej). Słyszałam później, że nasz transport liczył około dwa tysiące ludzi. W wagonach nie było żadnych prycz, ani nawet słomy. Za wszystkie urządzenia sanitarne służyła dziura wycięta w podłodze w jednym z rogów wagonu. Ludzie wstydzieli się korzystać z takiej toalety, ale wkrótce ktoś podał koc, z którego mężczyźni zrobili zasłonę. O zmierzchu pociąg ruszył. W całym wagonie słychać było płacz i szlochanie, przeplatane modlitwami. Z ciężkim sercem opuszczaliśmy rodzinne strony. Powtarzaliśmy wszyscy w myślach wciąż to samo pytanie – dlaczego? Domyślaliśmy się, że powodem zsyłki była ucieczka brata mojego męża Waclawa, który wcześniej mieszkał z nami, a który nie chcąc iść do „ruskiego” wojska uciekł na niemiecką stronę. Przypominało nam się, jak wielokrotnie NKWD zachodziło do nas i wypytywało, czy jest Waclaw Waszczuk. Zastanawialiśmy się też, czy może przyczyną wywózki mógł być fakt, że byłam córką Jana Malca z Kalinowa przedwojennego wójta gminy Jasienica, również zagrożonego zsyłką.

Od Białegostoku aż do końca podróży towarzyszył nam drugi pociąg z podobnymi, jak my zesłańcami. Pamiętam do dziś, że początkowo pociąg jechał bardzo szybko i bez zatrzymywania się. Od rana słychać było odgłosy przelatujących samolotów. W niedzielę 22 czerwca 1941 roku przed południem byliśmy już w Smoleńsku, gdzie pociąg wreszcie stanął. Z głośników dworcowych usłyszeliśmy komunikat, że Niemcy napadli na Związek Radziecki. Nie bardzo wiedzieliśmy, czy mamy się cieszyć i czy ten fakt odmieni nasz los. Każdy następny dzień rozwiewał nasze nadzieje, bo jechaliśmy coraz dalej na północny wschód. Podróż była straszliwa – raz dziennie dawano nam 4 wiadra wody na cały wagon. Najbardziej się bałam o moją maleńką, 9-miesięczną córeczkę Tereskę. Czym ją karmić – mleka brak, wody nie było na czym ugotować – dawałam więc surową, jedynie tylko posłodzoną. Po kilku dniach Tereska zaczęła chorować i obawiałam się, czy dojedzie żywa.

Po 10 dniach dojechalśmy do Kotłasu – dalej linii kolejowych nie było. Kazano nam załadować się na wielką barkę poruszaną silnikiem parowym napędzanym spalaniem drewnem. Płynęliśmy przez 10 dni bez schodzenia na ląd, najpierw rzeką Dwiną na północ, a następnie jej dopływem Wyczegdą w kierunku wschodnim. Pamiętam, że wodę do picia czerpano wprost z rzeki. Ze zdziwieniem obserwowaliśmy zjawisko białych nocy. Po obu stronach rzeki widzieliśmy ogromne połacie tajgi – często bagniste z bardzo rzadko położonymi nad rzeką ubogimi osiedlami ludzkimi. Mocno we znaki dawały nam się olbrzymie komary. Na barce słychać było ciągle płacz dzieci kąsanych przez te owady. Aby dzieci mogły w miarę spokojnie

spać, trzeba było siedzieć nad nimi z gałęzią w ręku i oganiać natrętne komary. Nasz „statek” wpłynął w jeden z dopływów Wyczegdy i zatrzymał się wreszcie w nędznym osiedlu nad rzeką, o nazwie Kabaniol. Wyładowano część z nas na brzeg i po kilku godzinach podjechały po nas wozy. Po około 50 kilometrach drogi byliśmy na miejscu. Przyjechaliśmy do miejsca w lesie nad samą rzeką, które nosiło nazwę Uczastek-Szeriak (w radzieckiej republice Komi, obłast Syktywkar). Z przerażeniem patrzyliśmy na kilka nędznych baraków zbudowanych z „okrągłaków” i otoczonych płotem z drewnianych słupów, z drutem kolczastym na wierzchu. Były to baraki po więźniach, którzy po wybuchu wojny wyszli na wolność, a raczej pewnie zostali wysłani na front. Nam przydzielono niewielką izbę z kilkoma żelaznymi łózkami i małą kuchenką z gliny. Były też całe stada pluskiew.

Już następnego dnia oboje z mężem musieliśmy pójść do pracy. Początkowo pracowaliśmy przy rozbieraniu więziennego płotu, a od września, kiedy ustaliła się mroźna i śnieżna pogoda, chodziliśmy do pracy w lesie. Każdy z nas musiał wyrobić normę, od której zależała wysokość otrzymywanego przydziału czarnego chleba. Początkowo dawano go 800 g na dobę, ale wkrótce przydziały zaczęto obniżać do 600-500 g na dobę, by zimą z 1942 na 1943 rok dojść do 350 g na osobę i to tylko dla pracujących, bo niepracujące osoby starsze i dzieci otrzymywały połowę tej porcji. Pracowaliśmy przy ścinaniu drzew. Zimą panowały czasami okropne mrozy dochodzące do 40 stopni poniżej zera. Na szczęście zimowe dniówki były krótkie ze względu na krótki dzień. Wychodziliśmy do pracy, gdy było ciemno, a wracaliśmy po zmroku. Zafascynowani patrzyliśmy całą rodziną na zorze polarne rozświetlające zimowe niebo. Przynajmniej na chwilę można było oderwać myśli od przygnębiającej nas rzeczywistości. Na początku pobytu w Szeriaku po trudach podróży ciężko zachorowała moja córeczka. Wydawało się nam, że umrze – teść przygotował nawet deski na trumnę. Zgłosiłam do naczelnika, że mam chore dziecko. Ten będąc w oddalonym o kilka kilometrów od Szeriaku powiatowym miasteczku Ust-Kołom, przywiózł ze sobą felczerkę. Obejrzała ona dziecko i dała jakieś proszki, które rzeczywiście pomogły. Przy okazji wypytywała nas, jak żyliśmy tam, skąd przyjechaliśmy. W pewnym momencie zadała pytanie, czy mieliśmy swoją krowę i po otrzymaniu odpowiedzi, że mieliśmy 6 krów popukała się w czoło i powiedziała, że gdybyśmy mieli tyle krów, to na pewno byśmy chociaż ich część ze sobą zabrali. W naszej miejscowości nie było żadnego sklepu, jedynie barak o nazwie „stołówka”, w którym można było kupić jakąś zupę ze zmrożonych kartofli i kapusty. Bywała czasami okropna zupa rybna (ze zgniłych ryb) – taka, którą było już czuć z daleka, zanim wracając z pracy doszliśmy do baraków osiedla. Za pracę płacono co prawda trochę rubli, ale za nie prawie nic nie można było kupić. Jedynie handel wymienny za obuwie i ubrania, a także zabrane z domu płótno pozwalał uzyskać nieco zboża i kartofli. Towarzyszyła nam ustawiczna tęsknota za bliskimi, za Polską, za naszym domem rodzinnym. Na duchu podtrzymywała nas modlitwa i śpiewane półgłosem w ukryciu pieśni religijne i patriotyczne, a zimą kolędy. Pod koniec pobytu w Szeriaku – gdzieś wiosną 1942 roku przyszły do nas dary z Ameryki (tak przynajmniej mówiono). Z darów otrzymaliśmy ok. 5 kg smalcu i 1 kg cukru na osobę, trochę ubrań, koc i szal, z którego zrobiłam bluzkę dla siebie, a z otrzymanych skarpet po spruciu zrobiłam dla córki sukieneczkę. Teściowie jako osoby w starszym wieku zwolnieni byli z obowiązku pracy. Teściowa umiała szyć na maszynie więc ustawicznie naprawiała i przerabiała nasze ubrania, a także świadczyła drobne usługi dla innych osób. Już od lata 1941 roku słuchając rad miejscowej ludności (nastawionej do nas na

ogół życzliwie, bano się natomiast Rosjan, a zwłaszcza funkcjonariuszy NKWD) zaczęliśmy przygotowania do zimy: suszyliśmy jagody, borówki, grzyby, pokrzywy, mlecz, czosnek niedźwiedzi, liście i łodygi dzikich malin. Po roku pobytu w Szeriaku, wykorzystując fakt nieobecności naszego naczelnika, którego powołano do wojska wraz z kilkoma osobami z administracji, uciekliśmy całą rodziną do pobliskiego miasta powiatowego Ust-Kołomu i zamieszkaliśmy w wynajętym małym mieszkaniu. Tereskę oddałam do miejscowego żłobka, a starszego Antosia do przedszkola. Przynajmniej miały zapewniony jeden posiłek dziennie, ale i tak wracały bardzo głodne i już od progu wołały: „mamo czy masz dla nas kawałek chlebka?” Dzieci bardzo szybko nawiązały kontakty z rówieśnikami bez względu na narodowość, nauczyły się też miejscowego języka Komi. My, Polacy trzymaliśmy się razem starając się pomagać sobie w potrzebie.

Wkrótce po przybyciu do Ust-Kołomu zaczęliśmy szykować się do wyjazdu do armii generała Andersa, ale nas nie puszczano, a innych, którzy zdążyli już wyruszyć, zawrócono. Przez wiele miesięcy ukrywano przed nami fakt ogłoszenia amnestii dla Polaków zesłanych w głąb ZSRR (na mocy układu Sikorski – Majski z lipca 1941 r.) Zauważyliśmy, że blokowano nam dostęp do wszelkich informacji o tworzącym się wojsku polskim. Na nasze ustawiczne dopytywanie się, odpowiadano wymijająco, iż dowiemy się wszystkiego w odpowiednim czasie albo informowano nas, że przecież jest wojna i potrzebna jest do pracy każda para rąk. Tak przetrzymano nas w niepewności do końca lata 1942 roku. Później we wrześniu rzeka zaczęła zamarzać i mówiono nam „pojedziecie jak rzeka puści”. W ciągu krótkiego lata pracowaliśmy w tartaku. Dotkliwie dawał się odczuć brak naczyń, a zwłaszcza garnków. W końcu mężowi udało się kupić dwa garnki, które wykorzystywaliśmy do gotowania potraw na „komiacki sposób” – wstawiając garnki z zupą do pieca, w którym paliło się drewno. Taka potrawa strasznie pachniała dymem, ale zjadało się tę „zupę” z rozartego na drewnianych żarnach ziarna z dodatkiem suszonych grzybów. Ci, którzy mieli naczynia (głównie miejscowi) przygotowywali na zimę beczkę kapusty, beczkę solonych grzybów (rydzów) czy też beczkę czerwonych borówek. My takich naczyń nie mieliśmy, stąd nasze przygotowania do zimy ograniczały się do suszonych grzybów, owoców i ziół.

Ust-Kołom był dziwnym miastem. Miał około 4 km długości, a składał się z kilku rzędów drewnianych domów, krytych drewnianymi dachami i paru magazynów nad rzeką zbudowanych na palach. W tym miasteczku spotkać można było różne narodowości. Oprócz Rosjan i Komiaków byli również Litwini i Łotysze, podobnie jak my wywiezieni. Było również trochę Żydów. Polacy jakoś dostosowali się do nowych warunków, natomiast masowo umierali, zwłaszcza Litwini. Wśród Polaków śmiertelność również była duża, np. we wspomnianym Szeriaku w ciągu około rocznego naszego pobytu z 60 zesłańców zmarło 16.

Zimą 1942/1943 wezwano nas do NKWD, aby podpisać obywatelstwo radzieckie. Większość osób odmawiała podpisania, więc niektórzy znaleźli się w więzieniu i w czasie kolejnych przesłuchań w końcu zmuszeni zostali je podpisać. Mnie oficer NKWD wypytywał bardzo szczegółowo o cały mój życiorys i w końcu kazał podpisać moje zeznania. Kiedy złożyłam swój podpis stwierdził, że podpisałam przyjęcie obywatelstwa radzieckiego. Nic nie dały moje prośby i płacz, że jestem Polką i żadnego innego obywatelstwa nie chcę. Wtedy

oficer przestał być miły i z wrzaskiem i przekleństwami wyrzucił mnie za drzwi. Kiedy wróciłam załamana do domu, przyszła sąsiadka – Polka i powiedziała, że jak kto podpisał to „poddanie”, nigdy nie będzie mógł wyjechać do Polski, a my tą myślą pokrzepialiśmy się co dzień marząc, że chwila taka kiedyś nadejdzie.

W czerwcu 1943 roku zabrano mojego męża do wojska. W czasie jednej z nocnych kontroli spytano męża, czy dostał wezwanie do wojska, kiedy odpowiedział, że nie, kazano mu natychmiast iść w nocy, do wojenkomatu (komenda wojskowa) i już następnego dnia wyjechał statkiem do wojska, Trafił do 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, z którą przeszedł cały jej szlak bojowy od Lenino do Berlina. Jego towarzyszem podróży do wojska i wszystkich walk frontowych był wspomniany wyżej Jan Krupa. Mąż był kilkakrotnie ranny, m.in. stracił trzy palce u rąk. Ostatnią ranę odniósł w przeddzień kapitulacji Berlina. Z wojska powrócił w listopadzie 1945 roku i do końca życia był chory na astmę.

Po wyjeździe męża zaczęły się dla naszej rodziny ciężkie chwile, brak męskiej ręki w domu (teść miał już 70 lat i był człowiekiem schorowanym), a także fakt, że tylko ja pracowałam, co oznaczało bardzo skromne przydziały chleba. Praca latem była trochę lżejsza, bowiem część z nas wychodziła nad rzekę do koszenia łąk. Koszono trawę dziwnymi kosami, przypominającymi duże sierpy. Dodatkową korzyścią z tej pracy była możliwość narwania szczawiu na zupę. W Ust-Kołomie mogliśmy korzystać z łaźni parowej tak zwanej bani, gdzie zwłaszcza zimą można było przynajmniej raz na jakiś czas rozgrzać się.

Od czasu, kiedy wojska radzieckie zaczęły odnosić zwycięstwa nad Niemcami, zaczęto organizować po pracy obowiązkowe zebrania, na których zapoznawano nas z wielkimi sukcesami Armii Czerwonej. I tak na walce z problemami dnia codziennego, aby przeżyć jeszcze jeden dzień, upływał nam trzeci rok naszego zesłania. W końcu wczesną wiosną 1944 roku przekazano nam wiadomość, że mamy być przewiezieni w cieplejsze rejony ZSRR.

Wyruszyliśmy, jak tylko rzeka „puściła”. Pamiętam, było to 17 maja 1944 roku. Od dawna byliśmy spakowani, niewiele z tego zostało, bo prawie wszystko wymieniliśmy na żywność. Znowu płynęliśmy barką – tym razem do Kotłasu, tam załadowali nas do towarowych wagonów. Teraz byłam zdana głównie na swoje siły i zanim przeniosłam rzeczy ze statku na ląd, w wagonach już nie było miejsca. Siedliśmy na swoich tobołach i czekaliśmy. Wreszcie podstawiono dodatkowe dwa wagony i w miarę „wygodnie” rozlokowaliśmy się w jednym z nich. Dołączono do nas różne osoby z innych wagonów, bo okazało się, że sowieckie normy 40 osób na wagon zostały przekroczone. Niezwykle męcząca podróż trwała 23 dni. Najgorzej w drodze dokuczał nam głód i brak gotowanej strawy. Na każdym postoju wychodziliśmy z wagonów, aby rozprostować kości i kupić coś do jedzenia od miejscowej ludności, a właściwie wymienić coś na odrobinę mleka czy chleba. Na szczęście nasi „opiekunowie” z NKWD nie pilnowali nas tak dokładnie, jak przy zsyłce w 1941 roku. Pamiętam, jak na jednym z postojów zobaczyłam, że dwie Żydówki poszły zagotować wody na ognisku i postanowiłam przyłączyć się do nich. Przeszłam pod pociągiem na drugą stronę torów, później jeszcze pod jednym i postawiłam na ogniu garnek z wodą i garścią kaszy. Wszystkie patrzyłyśmy bacznie, czy pociąg nie ruszy. Ledwie dogotowałam swoją kaszę, jak zobaczyłam, że pociąg odjeżdża. Szybko przeszłam pod pociągiem i z gorącą kaszą, parząc dłonie, wskoczyłam na stopnie między

wagonami. Przejechałam tak przynajmniej kilkadziesiąt kilometrów pełna obaw, czy dzieci bawiące się obok wagonów zdążyły wsiąść. Gdy pociąg stanął, pobiegłam do swojego wagonu i tym razem wszystko dobrze się skończyło. Dzieci i teściowie czekali z niepokojem na mnie.

Pamiętam także z podróży jedno szczególne wydarzenie, gdy na 1 maja dano na każdą osobę po 1 kg kielbasy. Wierzyć się wprost nam nie chciało, że dla prostych ludzi, tym bardziej zesłańców, jest w tym kraju taki luksus. Jechaliśmy cały czas na południe. Ominęliśmy z boku Moskwę i po kolejnych kilku dniach podróży dotarliśmy do Stalingradu. Do dziś pamiętam, jak ze zgrozą i współczuciem patrzyliśmy na to morze gruzów, na którym wyrastały liczne szałaszy z niedopalonych resztek, w których mieszkali ludzie. Dowieziono nas do Majkopu (Krasnodarski obwód) i stamtąd wozami do różnych kołchozów. My trafiliśmy do Tabacznego Sowchozu. Umieszczono nas w niewielkich glinianych domkach wybielonych wapnem. Po nędznych barakach Ust-Kołomu te wydały się luksusem. I znów nazajutrz po przyjeździe kazano nam zgłosić się do pracy. Każda z nas otrzymała po 1 ha pola tytoniowego do „obrobienia”. Za miesiąc ciężkiej pracy płacono nam po 200 rubli, za które można było kupić mniej więcej 10 litrów mleka lub kilkanaście kilogramów kartofli. Otrzymałam również 100 rubli zasiłku na dwoje dzieci za to, że mąż był na wojnie. W słoneczne dni po północnej stronie podziwialiśmy przepiękny widok na góry Kaukazu z ogromnymi szczytami, nawet latem pokrytymi śniegiem.

Już latem 1944 roku ciężko zachorowałam na malarię i odwieziono mnie do szpitala w Majkopie. Leżałam na dole z dużą gorączką, ale nie chciano mnie przyjąć na oddział, bo nie miałam skierowania. Prosiłam lekarza, aby mi je wypisał, ale nie miał na czym, zażądał ode mnie papieru, a skąd ja miałam wziąć papier? Leżąc tak na rozwalającym się łóżku, zobaczyłam, jak na korytarzu kilku mężczyzn zapala „skręta”. Wysłam i poprosiłam o kawałek gazety i na tej gazecie lekarz wypisał mi skierowanie do szpitala, postawił pieczęć i mogłam być przyjęta na oddział szpitalny. Po trzydniowym pobycie w szpitalu wypisałam się do domu na własną prośbę. Zbyt tęskniłam za dziećmi i martwiłam się o nie. Razem z teściową, która przysłała po mnie pieszo, poszliśmy do „swojego” sowchozu prawie 10 km. Po drodze kilka razy zasłabłam i z trudem dowlokłam się na miejsce. Po kilku dniach zwolnienia wróciłam do pracy. Od męża nie miałam żadnych wiadomości. W końcu po natarczywych poszukiwaniach w wojenkomacie zdobyłam adres męża i po półrocznej przerwie dostałam od niego wiadomość. Być może było tak jak w Ust-Kołomie, że listy do mnie od męża nie dochodziły i dopiero gdy napisał na adres znajomego Rosjanina i ja odpowiedziałam na ten list, korespondencja zaczęła przychodzić. Pamiętam, że nawet raz otrzymałam od męża 1000 rubli. Po raz drugi doszły do mnie pieniądze od niego na początku 1945 roku. Po godzinach pracy lub w niedzielę „zganiano” nas do stołówki, gdzie czytano nam wiadomości z frontu i chwalono się sukcesami Armii Czerwonej. Dla wojska zbierano także żywność i ciepłe ubrania. W rocznicę Rewolucji Październikowej urządzono wielkie święto z tańcami, a wcześniej zwołano wszystkich do stołówki, gdzie dyrektor sowchozu długo przemawiał o dobrobycie w ZSRR i o zdobyczach rewolucji.

W połowie 1945 roku trafiłam do pracy w przedszkolu, do którego chodziły moje dzieci. W przedszkolu dzieciom mówiono, że nie ma Boga, a na każdym kroku wysławiano Lenina i Stalina. Na święto Nowego Roku w czasie spotkania z Dziadkiem Mrozem na pytanie

przedszkolanki, czy dzieci znają jakieś piosenki o zimie, zgłosił się mój syn Antoś i zaśpiewał kolędę. Został za to wyśmiany, a ja dostałam naganę. Pracowałam jako sprzątaczką i zarazem pomoc do dzieci. W przedszkolu, oprócz pensji, otrzymywałam codziennie obiad i 1 litr oleju na miesiąc. Nadal naszym największym problemem było wyżywienie. Żyliśmy bardzo biednie i często doskwierał nam głód. Pewnej niedzieli wybrałyśmy się razem z teściową do sąsiedniego kołchozu, gdzie zaorywano proso, które nie urodziło się, ponieważ zostało zagłuszone przez chwasty. Zbierałyśmy przez kilka godzin ziarna do fartucha i wsypywałyśmy do worków. Niespodziewanie nadjechał na koniu strażnik i wygonił nas z tego pola, przy tym jeszcze zabrał teściowej jej worek z prosem, a ja swój uratowałam, ponieważ udało mi się go schować w chwastach. Do dziś pamiętam, jak strażnik wrzeszczał „niech zgnije, ale nie rusz”.

Wreszcie wojna skończyła się. W naszych sercach gdzieś głęboko na dnie tliła się iskierka nadziei, że być może uda nam się wrócić do Polski. Przez wiele lat były to tylko marzenia, których nawet baliśmy się głośno powtarzać, ale nadszedł i dla nas nareszcie ten wymarzony dzień – wracamy do Polski. Z drżeniem serca i z niepokojem oczekiwaliśmy wyjazdu. Wreszcie na początku marca 1946 roku podjechały po nas wozy drabiniaste zaprzężone w woły i zawiozły nas na stację w Majkopie. Kazano nam zabrać ze sobą ciepłe ubrania i zapas drewna na drogę do palenia w piecykach, które ustawiano w wagonach. Pociąg jechał oznakowany biało-czerwonymi flagami i ze śpiewem. Po paru dniach podróży, kiedy wjechaliśmy na Ukrainę, zaczęło nam bardzo dokuczać zimno, zwłaszcza w nocy, a zapasy drewna szybko się wyczerpały. Starsi mężczyźni i młodzi chłopcy kradli po drodze drewno na opał, ale to wszystko było za mało. Pamiętam, jak mijały nas po drodze jadące z Polski jeden za drugim pociągi z węglem. Kradziony węgiel nie chciał się palić, ponieważ piecyk w wagonie nie był przystosowany do tego rodzaju opału i trzeba go było przerabiać. W wagonie znaleźli się jednak fachowcy i od tego czasu na resztę podróży mieliśmy już przynajmniej ciepło. Ze łzami w oczach przekraczaliśmy granicę Polski. Nasze modlitwy Pan Bóg wysłuchał, ale nie wszystkim udało się wrócić. Wielu zostało na zawsze w nędznych mogiłach pod drewnianymi krzyżami w tajdze lub na Kaukazie.

Dowieziono nas do Opola i dopiero tam dzielono nas wagonami na rozwiezienie po całej Polsce. Po prawie miesiącu podróży dotarliśmy ponownie do Czyżewa. Teściowa wyruszyła pieszo do Ruskołęki do rodziny Knajpów po furmankę. Po kilkunastu godzinach oczekiwania podjechał po nas mój kuzyn i powiedział, że do domu nie mamy po co wracać, ponieważ gospodarstwo jest zrujnowane i obrabowane. Pojechaliśmy więc do moich rodziców do Kalinowa. Czekał tam na nas mój mąż. Przygotowano dla nas kąpiel i skromny poczęstunek (tak twierdzili moi rodzice), ale dla nas wydał się on wspaniałą ucztą. Moje dzieci popisywały się wierszykami i piosenkami w dwóch językach komiackim i rosyjskim. Zadawano nam pytanie – jak wam się udało wrócić? I dziś wielokrotnie to samo pytanie powtarzam w myślach. Mieliśmy jednak wyjątkowe szczęście i Opatrzność nad nami czuwała, że całą rodziną wróciliśmy z zesłania. Pamiętam do dziś smak tego białego polskiego chleba, którym po powrocie przełamaliśmy się ze swoimi bliskimi. Gdy wróciliśmy na nasze gospodarstwo musieliśmy zaczynać praktycznie wszystko od „zera”. Dużą pomoc okazali nam moi rodzice dzieląc się z nami tym, co mieli oraz moi bracia Franciszek i Bronisław. Przez długi czas po powrocie towarzyszyło nam poczucie zagrożenia i przekonanie, że pozwolono nam wrócić

tylko tymczasowo. Największe obawy budziła sprawa niechcianego radzieckiego obywatelstwa z czasów pobytu na zesłaniu i fakt, że mój mąż zaangażował się przeciw tworzeniu w Paproci Dużej tuż po wojnie „kołchozu”. Za wypowiedź na zebraniu, że „w kołchozie dorobicie się tylko waciaków i walonek” został aresztowany i trzeba było długich starań i pokazywania władzom wojennych odznaczeń męża, aby został zwolniony. Przez długi jeszcze czas przechowywałam zapas suszonego chleba – tak na wszelki wypadek.



Jan Waszczuk (z prawej)

*Spisał Ireneusz Malec
(bratanek, mieszkaniec Ostrowi Maz.)
w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych
podczas spotkań rodzinnych.*